

BOLESŁAW PRUS

OPOWIADANIE LEKARZA

Kilkanaście lat tonu garstka "inteligentnych" warszawian zbierała się w pewnej cukierni. Schodziliśmy się nad wieczorem, pijaliśmy kawę i herbatę, jadaliśmy ciastka i lody i naturalnie rozmawialiśmy o wypadkach bieżących. Zebrania te nazywały się "giełdą", albowiem prawie każdy uczestnik przynosił z sobą nowiny i

sprzedawał je towarzyszom - za inne nowiny, takiej samej wartości.

- Słyszeliście, że A. przegrał w karty trzy tysiące rubli i nie zapłacił?

- A czy wiecie, że B. zeszedł pana C. na bardzo czulej rozmowie ze swoją żoną?...

- Stare dzieje!... Ciekawe jest to, że pana E. przydybano na kasowych nadużyciach i będzie proces...

Nowin tych między innymi słuchał zazwyczaj milczący lekarz, nazwijmy go - Steckim. Spokojnie oglądał ilustracje i nagle wybuchnął krótkim śmiechem.

"Giełdziarze" umilkli, a jeden z nich, może dotknięty śmiechem, zapytał:

- Cóż się to stało doktorowi?...

- Przypomniałem sobie pewne zdarzenie - odparł Stocki i w dalszym ciągu oglądał

drzeworyty.

Śmiech jego zmroził towarzystwo. Przystano opowiadać sobie "wiadomości giełdowe", a poczęto rozmawiać o pogodzie. Wreszcie ten i ów podniósł się z krzesła, a po upływie kilku minut

Zostaliśmy tylko we dwu: Stecki i ja.

- Przejdźmy się po ogrodzie - rzekł lekarz.

A gdy znaleźliśmy się w alei, dodał:

- My tu jednak nieźle oporzędzamy bliźnich!... Gdyby opinie miały moc urzeczywistniania się, jedna połowa naszych znajomych musiałaby iść do kryminału, druga do grobu.

- Chyba zanadto pesymistycznie sądzisz pan nasze... zamiłowanie nowin.

Prawda,

że niekiedy powtarzamy niemożliwe i nawet ohydne pogłoski, ale robimy to w sposób tak oględny, tak nieledwie serdeczny, że chyba nikomu nie wyrządzamy krzywdy. Przypomnij pan sobie choćby dzisiejsze anegdoty. Wprawdzie jeden mówił,

że E. przyłapano na kradzieży, ale ktoś drugi zaraz temu zaprzeczył, a trzeci wspominając o romansie pani B. z panem C. nie omieszkał dodać, że wiadomość ta

robi wrażenie plotki.

- A jednak bywają nieszczęśliwi, których zabija plotka nawet opowiedziana z poprawkami i zastrzeżeniami - odparł zamyślony lekarz.

- Znał pan takiego nieszczęśliwca?... - spytałem.

- Prawie że znałem - odpowiedział i po chwili zaczął historię, którą tu wiernie powtarzam.

Z małych przyczyn niekiedy rodzą się duże skutki. W marcu 187* roku, jako student piątego kursu medycyny, biegłem do szpitala, ażeby dowiedzieć się o rezultacie analizy zrobionej dla jednego z moich chorych.

Powtarzam: biegłem do szpitala, gdyż właśnie, podczas mojej wędrówki, ustępująca

zima wysypywała resztę śniegu w postaci mokrych płatów padających tak gęsto, że

przechodnie robili się podobnymi do białych niedźwiedzi. Gdyby nie ten śnieg, szedłbym znacznie wolniej, spóźniłbym się o parę minut i nie spotkałbym w

szpitalnej sieni rzadko widywanego kolegi, zwanego Parmezanem, ponieważ chwalił

się raz, że jego dziadek należał do farmazonów. Parmezan, przy pomocy szwajcara,

oczyszczał swój wiotki paltocik ze śniegu wołając melodramatycznym głosem:

- Milion szkarlatyn i tyfusów!... Nie dość, że przemoczyłem nogi, ale jeszcze wpadła mi za kołnierz grudka śniegu. Brrr!...

Błysnął żółtawymi oczyma, otrząsnął się i poszliśmy razem na korytarz, właśnie w

chwili kiedy po zawiei grudniowej w wysokich oknach szpitala ukazało się słońce

prawie majowe.

- No spojrzysz, kolega - zawołał Parmezan - czy to podle słońce nie mogło wystąpić przed dziesięciu minutami ?...

Znowu otrząsnął się i tak energicznie tupnął w podłogę, że w korytarzu odpowiedziało dźwięczne echo. Na ten odgłos uchyliły się najbliższe drzwi i usłyszeliśmy upomnienie:

- Cicho tam!... w szynku jesteście czy w stajni?... Jednocześnie ukazał się nasz gromiciel. Był to kolega z powodu swojej figury przezwany Basetlą.

Spostrzegłszy

nas zamknął drzwi i rzekł prawie szeptem:

- Ach, to wy!... Wielki los wygraliście!... Pokażę wam tak piękny okaz suchotnika, że bez preparowania można go umieścić w gabinecie osteologicznym...

Skóra i kości... Niech pękne, jeżeli kiedy widziałem coś podobnego!...

- Cóż to za jeden?... - spytałem zaciekawiony.

- Wyobraźcie sobie, że jest to kolega medyk, z drugiego kursu. Odludek, pesymista, ale co za wściekła energia w tym facecie! Jeszcze tydzień temu

chodził na własnych nogach i udzielał marnie płatnych korepetycji. (Winszuję uczniom i ich rodzicom!) A kiedy nareszcie legł w barłogu, nikomu nie dał znać,

że jest chory. Dopiero stróżka zawiadomiła rządcę domu, rządcę policję, policję uniwersytetu, no i dostaliśmy go tutaj, wątpię jednak, czy na dłużej niż tydzień. Dlatego radzę wam nasycić oczy widokiem jego szkieletu, dopóki jest w akcji...

- Jak on się nazywa?... - zapytał skrzywiony Parmezan.

- Szwarckopf... Szwarzman... czy coś w tym rodzaju. Zresztą nie pamiętam! - odparł Basetlą.

- Chyba zobaczymy go?... - odezwał się do Parmezana.

- Jak chcesz - odparł nie okazując ciekawości. Weszliśmy. Chory nie leżał na ogólnej sali, lecz w pokoju oddzielnym. Ponieważ słońce znowu zgasło i śnieg zaczął padać, więc nie bez trudności dojrzałem na łóżku pacjenta. Wyglądał na człowieka dwudziestokilkuletniego, miał rude włosy, rudy zarost i ciemne głębokie oczy. Basetlą zbliżył się do niego i zaczął mówić:

- Nasz chory kolega wyobraża sobie, że ma wadę serca. Słuchałem go, ale nic nie

znalazłem. Zbadajcie wy, może który co odkryje, choć jestem pewien, że tam nic

nie ma. Kolega zdaje się być trochę zagłodzony i w tym tkwi źródło choroby; musiał za często praktykować posty, choć jest, Boże odpuść, kalwinem.

- Musi tam jednak być jakiś nieporządek w sercu - odezwał się chory stłumionym

głosem. - Czuję to po pulsie, który jest za prędko i nieregularny.

"Szczęśliwe złudzenia!" - pomyślałem widząc, że tego biedaka chyba już nic nie

uratuje.

- A teraz przekonamy się, co znajdą koledzy - rzeki Basetlą. -Poznajciez się...

kolega Parmezan...

Usłyszawszy nazwisko chory rzucił się w łóżku i usiadł. Istotnie był przerażająco chudy. Utkwił oczy w Parmezanie i zawołał chrapliwym głosem:

- Musisz pan być kontent, co?... Jesteś bodaj że na piątym kursie, a ja nie mogę wygrzebać się na trzeci.

- Ależ, kolego... ja nic... - szepnął jakby tłumacząc się Parmezan.

- Niechże się to raz skończy!... - krzyczał chory. - Słuchajcie, panowie - zwrócił się do nas. - Słuchajcie... Jak Boga kocham... daję słowo honoru, że tamtego jabłka nie chciałem schować, tylko poprawiłem je na koszyku, ażeby nie spadło...

- Ależ, kolego... nikt o tym nie mówił... nikt nawet nie myślał!... - jękał bardzo zmieszany Parmezan.

- Prześladowaliście mnie wszyscy... Przez was straciłem dwa lata, przez was musiałem uczyć największych osłów i biedaków!... - mruknął chory i upadł na poduszkę.

Po chwili zaczął szeptać:

- A mimo to skończę medycynę, choćbyście na łbach stawali!... Zresztą już zmienił się mój los. Już nie będę korepetytorem... Będę mieszkał w szpitalu... będę czytał kursa...

Nagle ukrył głowę pod kołdrę, z czego korzystając wymknęliśmy się, naprzód Parmezan, ja po nim, a za nami Basetlą.

- Cóż to znaczy?... Co znowu za jabłka?... - pytał Basetlą. Ale Parmezan machnął

ręką i uciekł na salę gorączkową, gdzie miał pacjenta. Poszedłem i ja w stronę laboratorium, a Basetlą na pożegnanie przypomniał sobie, że jego chory nie nazywa się Szwarckopf, lecz Eisenfeder.

W kilka dni dowiedziałem się, że Eisenfeder stracił wzrok, a następnie, że

umarł. Przez ten czas Parmezan nie pokazywał się, ale po pogrzebie zmarłego zaprosił mnie i Basetlę na piwo. Gdyśmy się zebrali w piwiarni, w domu Rezlera,

Basetlą odezwał się:

- Aczkolwiek nie mam ducha proroczego, lecz gotów jestem założyć się, że Parmezan uprzyjemni nam wieczór jakąś niezwykłą historią o zmarłym Eisenfederze... Musiałeś ty, owczy serku, zmalować tęgie świństwo, jeżeli zapraszasz nas na kolację, przypuszczam, że za pokutę!

- Niech cię diabli porwą, żeś nas zwabił do tamtego pokoju i w dodatku zapomniałeś nazwiska Eisenfedera!... - wybuchnął Parmezan uderzając kuflem

w

stół. - Twoje gapiostwo zatrulo mi cały tydzień.

- Uważacie, jak się rozwija ten Twarożek! - odpowiedział Basetla. - Jednym uderzeniem kufła o stół załatwia dwa interesy: wyładowuje swoją wściekłość na

mnie i daje znać kelnerce, ażeby przyszła. No, ponieważ usłyszymy jakąś bardzo

wzruszającą historię, więc pozwolicie, ażebym przede wszystkim coś zamówił.

Panienko!... proszę pieczeni wołowej z kapustą i kartoflami, za dusze zmarłe...

A płaci ten pokutnik... - dodał wskazując Parmezana.

- Dla ciebie nie ma nic świętego!... - syknął Parmezan. - Proszę o schab z kartoflami, bez kapusty...

Ja zamówiłem także schab, a kiedy skończyliśmy naszą nie-wykwintną ucztę, Parmezan oparł łokcie na stole, brodę na rękę i westchnął:

- Nie ma co mówić, udawało mi się z tym nieborakiem Eisenfederem! Ale zacznę od początku.

- Byle nie od początku świata - wtrącił Basetla wykluwając zęby.

Parmeżan błysnął w jego stronę żółtawym okiem i powiedział:

- Jak wiecie, ukończyłem gimnazjum w mieście X...

- No... no... tylko bez przechwałek! - wtrącił Basetla. Parmeżan ze wzgardą ruszył ramionami i mówił dalej:

- W mieście X oprócz gimnazjum znajdowała się czteroklasowa szkoła realna, a kiedy ja chodziłem do pierwszej klasy gimnazjalnej, Eisenfeder uczęszczał do pierwszej klasy realnej. Był on synem rymarza, o czym wiem, gdyż jakiś czas mieszkaliśmy w tym samym domu. Zналиśmy się jednak z daleka i nie rozmawialiśmy

z sobą, ponieważ gimnazjalistom nie wypadało wdawać się z "olejarzami". Tak nazywaliśmy realistów.

W jesieni roku 186* w mieście X urządzono wystawę rolniczą z próbami machin i

wyścigami. Próby i wyścigi odbywały się, dajmy na to, za rogatką wschodnią, maszyny stały przy rogatce zachodniej, obok koszar, zaś okazy zbóż, ogrodowin i

owoców pomieszczono w sali popisowej naszego gimnazjum.

Był to początek roku szkolnego, więc miałem dosyć czasu i co dzień zwiedzałem

wszystkie części wystawy. Przypatrywałem się próbom pługów, siewników i bron

nowego typu za rogatkami wschodnimi; potem biegłem do koszar, ażeby po raz dziesiąty i piętnasty oglądać młynki, siewczarnie i rozmaite maszyny, których znaczenia nawet domyślić się nie mogłem. Zaś na ukoronowanie moich agronomicznych uciech łąziłem do sali gimnazjalnej, ażeby tam podziwiać olbrzymie buraki, marchew, kalafiora i kapustę.

Nie potrzebuję dodawać, że największą popularnością cieszyły się okazy istotnie

pięknych owoców, między którymi wyróżniał się koszyk jabłek
ciemnoamarantowej

barwy. Muszę też nadmienić z przykrością, że co dzień, pomimo dozoru, ginął
jakiś owoc. Pokazuje się, że...

- Że zakazane owoce smakują najlepiej - wtrącił Basetla. - Już znamy ten
głęboki
aforyzm!...

- Radzę ci wynajmować swój język do prania bielizny zamiast kijanki!... -
burknął Parmezan i odetchnąwszy mówił dalej:

- Pewnego dnia, kiedy znowu siedłem do gimnazjum, rozumie się, nie na
lekcję,

tylko na wystawę, zobaczyłem przed szkołą zbiegowisko. Tłum, ciągle rosnący,
kotłował się u drzwi głównych, w których policjant (czarny mundur z
czerwonym

kołnierzem, na głowie pikielhauba, przez ramię szabla na szerokim pasie)
trzymał

za rękę jakiegoś chłopca w ubraniu cywilnym.

W pierwszej chwili nie mogłem poznać twarzy, chłopak bowiem zasłaniał się
drugą

ręką, trzęsąc się i płacząc tak rzewnie, że łzy wypływały mu spomiędzy palców.

Ale gdy zbliżył się jakiś pan ?. zapytaniem: "Co się stało?..." - policjant
oderwał chłopcu rękę od twarzy, a wówczas... poznałem Eisenfedera!

"Kradł jabłka na wystawie, proszę wielmożnego pana, więc kazali zaprowadzić
go

do ratusza" - objaśnił policjant.

"Jak mamę kocham... jak Boga kocham... nie brałem jabłek!... - krzyczał
chłopak

bijąc się w piersi. - Ja chciałem tylko poprawić jabłko, żeby nie spadło, a pan

Mateusz, woźny, powiedział, że kradłem..."

Owym jegomością, który zatrzymał policjanta, był czcigodny D., nauczyciel matematyki, a zarazem inspektor szkoły realnej. Rozmówił się z obecnym przy awanturze członkiem zarządu wystawy i Eisenfedera uwolnił z rąk policjanta.

"Możesz iść do domu" - rzekł D.

Ale chłopak nie ruszył się z miejsca. Oparł się o ścianę i zasłoniwszy twarz obu rękoma, płakał, że się serce krajało, i powtarzał:

"Ja nie brałem... ja tylko chciałem poprawić jabłko. To pan Mateusz, który kłóci się z moimi rodzicami, przez zemstę nazwał mnie... O mój Boże..."

Zacny nauczyciel pogłaskał chłopca i odprowadziwszy go na bok, rzekł:

"Uspokój się, Eisenfeder, i idź do domu... Ja ci wierzę i mam nadzieję, że do jutra wyjaśni się nieporozumienie."

Istotnie sprawa wyjaśniła się o tyle, że znaleziono kilka osób, które widziały, iż Eisenfeder tylko dotknął jabłka leżącego na szczycie grupy, ale bynajmniej nie chował go do kieszeni.

- Dramat zakończony sielanką!... - rzekł Basetla.

- Zobaczysz, jaka to ładna sielanka - ciągnął Parmezan. - Zapominasz, że na aresztowanie Eisenfedera patrzyło kilkanaście osób i że chłopak miał kolegów, drugoklasistów. Dzieci zaś, jak wiadomo, niekiedy odznaczają się tygrysimi instynktami...

- I nie dzieci!... - wtrącił Basetla.

- Eisenfeder był usprawiedliwiony wobec władzy szkolnej, ale nie zdołał przejednać kolegów, którzy dla miłości sztuki dokuczania używali na nim, ile wleźło. Z całego szeregu prześladowań, jakim ulegał, najmniejszymi były dwa przezwiska: "wystawca" i "jabłecznik"... Niech tylko Eisenfeder nie ustąpił komu

z drogi albo nie zrobił, czego żądano, wnet "obrażony" kolega rzucał słówko:

"wystawca" albo "jabłecznik", i - miał zupełną satysfakcję. Eisenfeder

czerwienił się, cofał, a niekiedy rzucał się na ławkę i oparłszy głowę na rękę, płakał... Toteż niewielu "kolegów" odmawiało sobie uciechy pobudzenia do łez Eisenfedera. Nikczemność lubi triumfować nad niedolą.

W rezultacie Eisenfeder musiał usunąć się ze szkoły i dopiero po upływie dwu lat

wstąpił do trzeciej klasy. Ja tymczasem doszedłem do czwartej, piątej.

Eisenfeder przeniósł się do gimnazjum, gdzie niekiedy spotykaliśmy się na korytarzu. Czy wiedział, że byłem świadkiem jego aresztowania?... nie jestem pewien. W każdym razie spotkawszy się ze mną rumienił się i spuszczał oczy. Skończywszy gimnazjum zapisałem się do Szkoły Głównej, przeszedłem na drugi kurs

medycyny i znowu spotkałem Eisenfedera będącego na pierwszym kursie. W tej epoce

naszego koleżeństwa zdarzyły się dwa wypadki, o których zawsze myślę z żalem,

choć nic nie byłem winien.

Pewnego dnia zetknęliśmy się w prosektorium; ja, już nie pamiętam, z kim, preparowałem nogę, a Eisenfeder przy drugim stole obrabiał głowę. Wtem, licho

wie z jakiej racji, przyszedł mi koncept zapytać mego towarzysza: czy był na wystawie sztuk pięknych?... Eisenfeder, który widocznie usłyszał tylko wyraz: "wystawa", nagle zaczerwienił się i zwróciwszy się do mnie z zakrwawionym skalpelem, zapytał:

- O jakiej to "wystawie" pan mówi?...

Na moje szczęście odpowiedziałem naturalnym głosem:

- No, o wystawie Zachęty. Nie słyszałeś pan?... Eisenfeder popatrzył na mnie ze złością i na powrót wziął się do roboty. Ja zaś przypomniałem sobie jego wystawową awanturę i struchlałem pomyślawszy, że ten człowiek mógł

posadzić mnie

o zamiar szykanowania go...

Drugi raz zdarzyło się gorzej. Spotkałem Eiseniedera na obiedzie, wiecie, u Janowej. Diabli nadali, że usiadł przy mnie Jeżozwierz, który po czarnej kawie wydobyl z kieszeni kilka jabłek amarantowego koloni i zaczął nimi częstować naprzód mnie, potem Eisenfedera.

- Jedz kolego - mówił - to bardzo zdrowe po obiedzie... Co za głupi koncept i skąd mu przyszedł do łba! Eisenfeder na widok owocu, który zapewne przypomniał

mu wystawę rolniczą w X, zerwał się od stołu, spojrzał na mnie oczyma pełnymi

łez i zapłaciwszy Janowej za obiad, wyszedł. W kilka zaś dni dowiedziałem się, że wziął urlop i wyjechał na wieś, na guwernerkę. Było mi wściekle przykro, ponieważ jestem pewny, że posadzał mnie o opowiadanie jego nieszczęścia na wystawie.

Tu Parmezan umilkł i napił się piwa. Po chwili zapytał go Basetla:

- Więc według twojej hipotezy, Parmezanku, Eisenfeder dlatego wyjechał na guwernerkę, że Jeżozwierz poczęstował go bardzo czerwonymi jabłkami?... A czy

wypadkiem ty, filantrop, czy wypadkiem nie opowiedziałeś komu jego niemiłej historii?...

Parmezan zmieszał się...

- Czy ja pamiętam?... Może i opowiedziałem coś Jeżozwierzowi, ale... pod największym sekretem i nigdy w tym sensie, że Eisenfeder kradł jabłka, tylko że spotkało go takie dziwne zdarzenie.

- Tak... tak!... musiałeś coś. Twarożku, chlapnąć językiem, naturalnie pod największym sekretem, o Eisenfederze, a zaraz powiem ci dlaczego. Pamiętam,

w

tej chwili przypomniałem sobie, że w roku, kiedy Szkołę Główną zamieniono na

uniwersytet, rozeszła się pod największym sekretem pogłoska o jakimś medyku drugokursiście, który w gimnazjum kradł jabłka, a później zegarki. Ludzie nie tylko powtarzali twoje słowa, ale jeszcze awansowali bursza na kompletnego złodzieja!... Toteż nie dziwię się, że wówczas wyjechał na guwernerkę, a później

unikał kochanych bliźnich jak psów wściekłych... Za twoje zdrowie, Parmezanku!...

Basetla wypił kufel piwa, a Parmezan tłumaczył się bardzo strapiony:

- To nie może być!... Ja nic podobnego nie mówiłem o Eisenfederze... Ja go nawet
bronilem...

- Tylko już mnie nigdy nie broń w ten sposób!... - szydził Basetla.

Stecki przerwał opowiadanie, zatrzymał się w alei i po dłuższej pauzie dodał:

- Na świecie robi się tak, że jedni powtarzają plotkę, choćby o niewinnym, inni bronią oskarżonego, rozumie się, specjalnym stylem, wszyscy zaś razem budują stos, na którym opala się mocniejszy, a ginie słabszy.

- A jakie zapisałyby pan lekarstwo na tę chorobę?... - spytałem.

- Przez kilka lat mieszkałem za granicą - odpowiedział Stecki - i doszedłem do następującego wniosku. Inteligentny Niemiec lub Francuz, znalazłszy się w towarzystwie równie inteligentnych ludzi, rozmawia o ważnych kwestiach: naukowych, religijnych, społecznych, a choćby i artystycznych. Zaś my lubimy przede wszystkim zajmować się osobami i powtarzanymi o nich pogłoskami, choćby

za grosz nie miały prawdy ani sensu. Skutek jest ten, że Francuz albo Niemiec

kształci się w towarzystwie, a my psujemy się i krzywdzimy innych, dzięki
czemu

każdy z nas ma duszę pełną ukłuc, dopóki nie zablizni ich pogarda.